



Błąd w tytule

Czyli o narzekaniu i jednoczesnym bezmyślnym utrwalaniu stanu, na który się narzeka.

Czyli o narzekaniu i jednoczesnym bezmyślnym utrwalaniu stanu, na który się narzeka.

Kupiłem kiedyś książkę pod intrygującym tytułem: *W tytule tej książki są dwa błędy*. Wpatrywałem się i wpatrywałem, i poza podwójnym „są” drugiego błędu nie widziałem. W końcu doczytałem się, że drugim błędem była... informacja o dwóch błędach, gdy w rzeczywistości był tam tylko jeden błąd. A ja, głupi i ślepy, nie wpadłem na coś tak oczywistego.



Na plakacie z okładki z krzyczącym pytaniem: „Ile Kościoła w państwie?” też, jak się wydaje, jest błąd, niemal niezauważalny, ale jak się tak zastanowić — oczywisty. Ale cierpliwości, zaraz do tego dojdziemy. Na razie skupmy się na głównym artykule numeru, anonsowanym tą okładką. To relacja z trzech debat poświęconych w zasadzie roli i miejscu Kościoła rzymskokatolickiego w naszym państwie. Nie będę tu relacjonował przebiegu debat, ale ponieważ w nich uczestniczyłem, odniosę się do niektórych poruszonych podczas nich kwestii.

Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to skład uczestników poszczególnych debat — ideowo zróżnicowany, ale nie do końca. Organizatorzy zadbali o przewagę liczebną przedstawicieli ideologicznej lewicy nad przedstawicielami ideologicznej prawicy. Moderator pierwszej debaty też chyba nie do końca wiedział, na czym polega jego rola, bo z osoby prowadzącej dyskusję innych, stawał się dyskutantem ostro argumentującym przeciwko obecności religii w szkołach.

W swej lewicującej większości dyskutanci byli generalnie przeciwko obecności nauki religii w szkołach, przeciwko jakiegokolwiek współfinansowaniu związków wyznaniowych z budżetu państwa oraz przeciwko brakowi wyraźnych granic w relacjach państwowo-kościelnych, skutkującemu chociażby symbolicznym całowaniem ręki papieża przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Pod wieloma ich argumentami można byłoby się podpisać, ale wiele z nich wskazywało, że częścią dyskutantów kierował nie tyle rozsądek, co antyklerykalizm oraz antypatia do wszystkiego, co religijne.

Twierdzono na przykład, że religia przez samą swoją obecność w szkołach ma dyskryminować nieobecne w szkołach wyznania mniejszościowe. Nie brano jednak pod uwagę, że mniejszości też nauczają religii w systemie oświaty, tyle że głównie w pozaszkolnych punktach katechetycznych. Tu dyskryminacji nie ma. Jest natomiast, czego nie zauważono, na innym polu — komasowania dzieci innowierczych, bardzo zróżnicowanych wiekowo, w jedne klasy w ramach tych punktów, co często sprawia, że uczą się w nich pierwszaki z podstawówki z dziećmi z gimnazjów czy liceów. Zrealizowanie programu nauczania religii mniejszościowej nie jest praktycznie możliwe. Inne przykłady dyskryminacji w nauczaniu religii w ramach systemu oświaty pominę z braku miejsca.

Z kolei podczas debaty o finansach właściwie jedynie red. Szostkiewicz z „Polityki” zauważył, że likwidacja Funduszu Kościelnego i zastąpienie go 0,5-procentowym odpisem podatkowym na związki wyznaniowe uderzy głównie w mniejszości religijne. Wprowadza się reformę, skutkiem której największy Kościół nic nie straci, a mniejsze wpadną w tarapaty finansowe. A przy tym stwarza się jeszcze wrażenie, że to nowa jakość, bo to obywatele będą mieli decydować, do jakiego związku wyznaniowego popłyną pieniądze. Problem w tym, że nadal — jak za Funduszu Kościelnego — będą to pieniądze z budżetu państwa. Będzie to bowiem jedynie odpis od podatków należnych państwu, a nie podatek obywatela na dany Kościół. W efekcie mniejszości zostaną w bliskiej perspektywie pozbawione z budżetu państwa jakiegokolwiek systematycznego wsparcia, a największy Kościół będzie je otrzymywał nadal. Proponowaną reformę można podsumować znaną biblijną frazą, twórczo dostosowaną do polskich realiów: *Twemu, który (już) ma (pod dostatkiem), będzie jeszcze dodane, a tym którzy nie mają i to (niewiele), co mają, będzie zabrane.*

I na koniec winien jestem wyjaśnienie zagadki z błędem w tytule. Podczas ostatniej debaty o granicach relacji państwowo-kościelnych wszyscy dyskutanci bezrefleksyjnie używali słowa „Kościół” bez żadnego przymiotnika, który wskazywałby, o jaki Kościół chodzi. Narzekali, że „Kościół” się wtrąca do polityki, stosuje dyktat, przekracza granice, których przekraczać nie powinien, zagląda pod kołdry itd. Wzywali do skończenia z tym monopolem „Kościół”, z jego dominacją w społeczeństwie, narzucaniem jedynie słusznego punktu widzenia. Niestety nikt z dyskutantów, nawet tych z lewej strony, nie zauważył, że mówiąc bezprzymiotnikowo „Kościół”, zamiast z przymiotnikiem „rzymskokatolicki”, albo niesprawiedliwie kieruje swoje pretensje ku wszystkim Kościołom (również całkiem małym), albo uznaje, że w Polsce istnieje faktycznie tylko jeden prawdziwy Kościół — rzymskokatolicki. A skoro jeden, to nie warto

nawet dopisywać mu żadnych przymiotników dla odróżnienia go od innych. Lewica ideologiczna narzeka na dominację Kościoła rzymskokatolickiego, ale nazywając go po prostu i tylko „Kościołem”, tę dominację jedynie utrwala. I to jest ten podstawowy błąd w tytule plakatu na okładce.

Andrzej Siciński

[Artykuł ukaże się jako felieton wstępnym październikowym numerem miesięcznika „Znaki Czasu”. Fot. Andrzej Siciński. Na potrzeby publikacji na Eioba.pl dodano pierwszy lid].